



SZYMON
JĘDRUSIAK

TRON
JAGIELLONÓW

KRWAWA SUKCESJA

BUKOWY LAS

PROLOG

Zima roku Pańskiego 1423

Od świtu przemierzali wysokopienny niepodszyty grąd, martwy od mrozu lodowy gąszcz dębów, buków, grabów i jodeł. Do butów przymocowali owalne wiklinowe obręcze wypełnione plecionką z grubego rzemienia. Kruszyli nimi twardą śnieżną pokrywę – raz szarą jak wilcze futro, to znów skrzącą się milionami diamentowych okruchów. Na grzbietach mieli kozuchy, a na głowach baranie czapy. Mimo to zimne powietrze przenikało ich na wskroś.

Prowadził Izbor. Po raz pierwszy, odkąd zamieszkał w osadzie, zabrał ze sobą pomocnika. Miał jeszcze dość sił, by napiąć łuk, ale czuł, że sam zdobywszy nie oprawi i nie doniesie do wioski. Wieśniacy uważali go za obcego, patrzyli nań krzywo, mimo to chodził wczoraj od chaty do chaty w poszukiwaniu ochotników. Zdolnych do ruszenia na polowanie zostało niewiele. W końcu zgłosił się Jurand, który teraz trzymał się dwa kroki z tyłu. Chłopak był młody, miał więcej sił niż inni. Uchodził za sprawnego cieślę, ale słabo znał się na zwierzynie. Żona kazała mu iść. Żle życzyła Izborowi, miała jednak ten sam powód co stary myśliwy, by zapomnieć o urazach. Był to głód.

Takiej zimy jak ta ludzie tu nie pamiętali. Od mrozu pękały w lesie drzewa, wymierały wychudzone zwierzęta. Kłęska zaczęła się już latem, kiedy powodzie zalały pola, zagrody i spichlerze. Potem nastąpiła jeszcze bardziej mokra jesień. Potopiły się krowy i świnie wypasane w zagłębieniu na grodzonych leśnych polanach. Zapasów z zeszłorocznych zbiorów nie starczyło. Na domiar złego wielką plagą przyszły myszy i wyżarły ziarno przeznaczone na wiosenny siew. Głód i wilgoć sprowadziły na ludzi najrozmaitsze choroby.

Nastał marzec, a zima nie odpuszczała. Świat na kilka dni zasłoniły obfite śnieżyce, po nich zaś, miast odwilży, zapanowały jeszcze surowsze mrozy. Żeby przeżyć, ludzie jedli żołędzie i korę.

Córka Izbora była przy nadziei; rozwiązanie powinno nastąpić wczesnym latem, mimo to targały nią bóle, jakby już miała rodzić. Stary wiedział, że jeśli niczego nie upoluje, jego córka umrze. Umrą też cieśla, który z nim szedł, jego żona i troje ich dzieci. I może nikt w wiosce nie przeżyje. Potrzebowali mięsa, które postawi na nogi mężczyzn, pozwoli przetrwać kobietom i dzieciom.

Szczęście im sprzyjało. Już po godzinie natrafili na poruszony śnieg. Izbor rozpoznał miejsce żeru: zwierzęta grzebały tu kopytami w poszukiwaniu krzewin i porostów. Kilkanaście kroków dalej, pod rozłożystym starym dębem, mężczyźni odkryli legowisko – obszerną podłużną nieckę wytopioną w śniegu aż do gołej ziemi.

Jurand spojrział pytająco na Izbora.

– Jeleń – orzekł stary.

Wstąpiła w nich otucha, żwawym krokiem ruszyli tropem zwierzyzny.

Ale nie tylko oni walczyli o przetrwanie. Lasy, zwłaszcza w pobliżu ludzkich osad, przemierzały stada głodnych wilków, gotowych rzucić się nawet na idących w grupie myśliwych. Izbor niósł łuk myśliwski, a Jurandowi przytoczył do pleców małą kuszę na wilki. Teraz kazał mu ją przygotować do strzału.

Obawy wkrótce się potwierdziły. Za pierwszym pasmem grądu do śladów jelenia dołączyły nowe, ułożone w jednej linii – duże, wydłużone, przednie pazury odcisnięte w śniegu wyraźniej niż boczne.

– Wilki – mruknął Izbor.

– Widzę jednego... – Jurand kucnął, by przyjrzeć się tropom.

– Tak idzie wataha. Pierwszy wilk prowadzi, a następne stawiają łapy w jego śladzie.

– Może to ryś?

Izbor pokręcił głową. Rysie to koty, chowają pazury, gdy idą po śniegu. Stary chciałby się mylić, bo rysie polują samotnie, ofiarę zakopują w śniegu albo wciągają na drzewo. Rysiom mogliby podobnie zdobyć, a po wilkach zostaną tylko krwawe strzępy na śniegu.

– Wilki – powtórzył.

Szli tak jeszcze pół mili. Jurand czuł ból w całym ciele. Głód szarpał nim od środka, mięśnie drżały. Choć nie był myśliwym, wiedział, że nie mają szans z wygłodniałym stadem. Dalsza wędrówka to szaleństwo. Pomrą tu z głodu, a zwierzęta rozszarpia ich ciała i rozwłoka kości. Ogarnął go tak silny lęk, że zabrakło mu tchu, osunął się na kolana.

Izbor jednak tego nie widział. Parł naprzód, nie odwracając głowy. Ale i on, uszedłszy jeszcze pół stajania, przystanął. Chwilę wpatrywał się w śnieg wydeptany wokół młodych drzewek. Potem odwrócił głowę, poszukał wzrokiem towarzysza i kilka razy niezdarnie zagarnął do siebie powietrze grubym od futra ramieniem.

– Bóg nam sprzyja! – zawołał, gdy Jurand w końcu się do niego dowłókł. – W tym miejscu żerowały sarny. Wilki poniechały jelenia i poszły za stadem.

Myśliwy jeszcze raz pochylił się nad tropem. Przetarł oczy załzawione od mrozu i oślepiającej bieli. Samiec czy samica? Odciski kopyt były tu wyraźne, szerokie i głębokie.

– Byk! – oznajmił radośnie.

Przed wyjściem z wioski Izbor modlił się o samca, bo taki łup wart był trudu i poniesienia kary, jeśli kłusownictwo by się

wydało. Mięsa starczyłoby dla całej osady. Zostałyby też skóra, którą można by dobrze sprzedać, i poroże.

Liczył także, że uda mu się zdobyć dla córki cudowną kostkę Świętego Huberta – chrząstkę z serca jelenia, w kształcie krzyża, która sproszkowana i podana ciężarnym kobietom czyni cuda.

Wzmocnieni nadzieją szli za tropem kilka godzin, aż znaleźli się na otwartej przestrzeni: szerokim na dwa stajania pasie mokradeł, teraz ustalonych mrozem. Zaczęło wiać. Trop wiódł prosto do rozciągającego się za bagnami gęsto podszytego, podmokłego boru, zamkniętego z trzech stron szerokim potokiem zwanym przez tutejszych Czarcia Wodą. To przeklęty las, usiany topieliskami i bezdennymi moczarami, prastare cmentarzysko wampirów, strzyg, upiorów i różnych sił nieczystych. Nawet podczas wojen, których na tych ziemiach nie brakowało, ludzie wolili zginąć od wrogich mieczy, niż chronić się w tym plugawym zakolu. Jak sięga ludzka pamięć, nikt stamtąd cały nie wyszedł. Kiedyś kilku śmiałków zapuściło się na bagna. Wypili kwartę wódki i ruszyli przed siebie. Macając długimi żerdziami zdradzieckie wody, parli naprzód. I słuch po nich zaginął.

Jurand słyszał tylko o jednym drwału, który wrócił. Poblądził zimą, dawno temu. Spędził za bagnami całą noc. Ledwo uszedł sto kroków – opowiadał po powrocie – a już się go czepiały jakieś kosmate ramiona. Ciche wycie niesło się tam nisko ziemi jak mgła, krew skapywała z koron drzew do oczu, gdy tylko człowiek uniósł głowę, by w niebie poszukać ratunku. Kilka dni później rozum mu całkiem odjęło i stracił mowę.

– Przez bagna nie idę! – wydyszał cieśla.

– Las jest gęsty. – Izbor chwycił go za ramiona i mocno nim potrząsnął. – Rogacz prędko będzie nasz! Zrób znak krzyża. Przegonisz czarty. W imię Ojca i Syna...

– Nie pójdę!

Mróz i wiatr przemieniły ich twarze w sztywne maski. Bolały, jakby je obito kijami.

– Sam nie wrócisz. – Izbor mówił z coraz większym trudem. Zdrętwiałe usta odmawiały posłuszeństwa. – Wybierasz śmierć.

Jurand pokręcił głową. Chciał jeszcze coś rzec, ale wydobył się z niego tylko jęk.

– Idź do diabła! – Izbor pchnął młodego cieślę, tak że ten zatoczył się do tyłu i uderzył plecami o pień drzewa, a potem wyczerpany osunął się w zaspę.

Myśliwy odwiązał od butów wiklinowe obręcze. Cisnął nimi w skulonego pod drzewem towarzysza. Ruszył sam przez skute lodem mokradła. Pokrywa śniegu była tu cienka, ślizgał się co kilka kroków, z trudem utrzymując równowagę. Musiał jak najszybciej pokonać zamarznięty odcinek. Wiatr się nasilił. Mroźne powietrze dławilo go i paliło w krtani.

Wreszcie znalazł się po drugiej stronie. Uczynił znak krzyża i ruszył za tropem w głąb boru. Las szybko gęstniał. To dobrze. Idąc po śladach, Izbor domyślił się, że jeleni niesie obszerny wieńiec. Mylenie tropów, zwodzenie, kluczenie w gęstwinie musiało kosztować byka sporo wysiłku.

Myśliwy zobaczył zwierzę kilka pacierzy później. Dzieliło ich zaledwie kilkanaście sążni. Olbrzymi płowobrazowy samiec z potężną grzywą na karku i rozłożystym porożem. Dziesiątak! Wysoki w kłębie jak największy rumak. Zmęczony jeleni rozwarł chrapy, zastrzygł uszami i ruszył dalej w głąb boru. Już dawno wyczuł w myśliwym śmiertelnego wroga.

W Izbora wstąpiły nowe siły. Zdjął z pleców łuk, z kołczana dobył strzałę. Zapomniał o strzygach, czartach i diabłach. Chciał dopaść zwierzę, wykroić z niego tyle mięsa, ile zdoła unieść.

Zrobił kilka szybkich kroków, gdy nagle ujrzał... pniak. Pozostałość po świeżo ściętym drzewie. Ściętym ludzką ręką, nisko, tuż przy karpie. A potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Przeraził się, że postradał zmysły. Że ma zwidy, że szatan zbełtał mu umysł.

Chwilę później wyłoniła się przed nim niewielka polana. Kilka razy przecierał obolałe od śnieżnego blasku powieki, bo nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Na środku polany stała chata.

A raczej niski pasterski szałas wielkości budy łaziebnej, z pochyłym dachem stykającym się niemal z ziemią, krytym gałęziami i korą. Myśliwy obszedł go ostrożnie, żegnając się co chwila i mamrocząc zdrowaśki. Chata miała tylko jedno okno, od wschodu, zasłonięte okiennicą. Wchodziło się od południa.

Stary chwilę stał bez ruchu. Nasłuchiwał. Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk. Nad chatą nie unosił się dym. W obejściu nie dostrzegł świeżych śladów. Niskie, szerokie, prawie kwadratowe drzwi do połowy tonęły w śniegu.

Izborowi przeszła przez głowę myśl, że skoro chata jest opuszczona, to może wykorzysta ją jako schowek. Przywlecze tu jelenia, kawałek po kawałku, mięso będzie bezpieczne przed wilkami. Kilka razy przyjdzie po nie z wioski, może nawet zabierze wąskie sanie, które zmieszczą się między drzewami.

Zdjął rękawice, wsunął palce w wąską szparę pomiędzy okiennicą i ścianą i pociągnął do siebie. Rozległo się krótkie skrzypnięcie. Pociągnął jeszcze raz, mocniej. Okiennice nieco się uchyliły.

Oparł lewą dłoń o szeroką deskę tkwiącą nad ościeżnicą, pochylił głowę, zaparł się stopami głęboko w śniegu i mocno ciągnąc do siebie, kruszył lód osiadły na zawiasach. Gdy okiennica rozwarła się już na tyle, że można było zajrzeć do środka, podniósł wzrok.

Nie od razu zrozumiał, co widzi. W załzawionych od mrozu oczach zamajaczył straszny obraz. Dopiero po chwili z zaciśniętego gardła Izbora wydobył się ochrypliły krzyk. A potem myśliwy, napierając gwałtownie ramieniem, zdołał zawrzeć okiennicę. Serce waliło mu jak oszalałe. Poczuł ukłucie w piersiach. Nie miał siły uciekać. Osunął się na kolana. Wiedział, że jeśli upadnie na twarz, będzie zgubiony. Ostatnim wysiłkiem woli przywarł plecami do ściany chatki.

CZĘŚĆ I

Dziesięć lat wcześniej

1

Jesień roku Pańskiego 1413

Ottona Szafrança dzieliło od Lüneburga zaledwie kilka mil. Był w drodze ósmy dzień. Pieskowa Skała, Kraków, Wrocław, Berlin – okropna wyprawa. Już na Śląsku rozglądał się niespokojnie. Po przekroczeniu granicy Rzeszy podróżował tylko za dnia, najbezpieczniejszymi traktami, a i tak miał plecy sztywne ze strachu. Znał niemieckie drogi bardzo dobrze, ale dotychczas poruszał się po nich ze zbrojnym oddziałem u boku.

Tym razem nie zabrał nikogo, nawet najbardziej zaufanych ludzi. Nie chciał, by ktokolwiek dowiedział się o tej podróży, a już zwłaszcza jego stryjowie, Piotr i Jan Szafrancowie, czy jego ciotka, piękna Konstancja.

Gdy szary świt przeszedł w jasny poranek, gościniec zaroił się od podróżnych. Na horyzoncie zamajaczyły mury Lüneburga. Otton wreszcie poczuł się bezpiecznie. Odetchnął z ulgą.

Ze zmęczenia i niewyspania ledwo trzymał się w siodle. A za kilka godzin czekała go najważniejsza rozmowa w jego młodym, bo ledwie dwudziestopięcioletnim, życiu. Rysowała się przed nim

jasna, wspaniała przyszłość, lecz by w nią wkroczyć, musiał przekonać do swego planu pewną wpływową osobę.

Wiele ryzykując, przebył taki szmat drogi, by spotkać się z Jordanem Pleskowem – do niedawna burmistrzem Lubeki oraz, co się z tym ściśle wiązało, przewodniczącym Hanzy, największej organizacji kupieckiej świata.

W wyniku politycznych intryg swych przeciwników Jordan Pleskow utracił dawną pozycję. Wygnany z Lubeki, osiadł tymczasowo w Lüneburgu. Wciąż jednak cieszył się poważaniem największych niemieckich rodów, nie wyłączając książąt i króla. Wszyscy bowiem żywili przekonanie, że prędzej czy później Pleskow wróci na szczyt Hanzy.

Otton był jego oczami i uszami w Polsce. Znali się od lat. Szafraniec nie tylko sam dorywczo parął się kupiectwem, lecz także – z racji pochodzenia i pozycji stryjów – organizował innym przestrzeń do zyskownego handlu, czerpiąc z tego niemałe dochody. Z roku na rok stawał się dla Pleskowa, jednego z najpotężniejszych kupców Rzeszy, coraz cenniejszy, Pleskow zaś dla Ottona – coraz hojniejszy.

Na wygnaniu Jordan Pleskow znalazł się na uboczu wielkiej polityki, więc jego głównym celem stało się utrzymanie ludzi w przekonaniu, że warto z nim współpracować. Jak prorok cudu, tak on potrzebował znaczącego sukcesu, czegoś naprawdę spektakularnego, co pozwoliłoby mu odzyskać utracony prestiż.

I właśnie z takim pomysłem – ekscytującym proroctwem z gwarancją spełnienia – przybył do niego Otton Szafraniec.



Wczesnym rankiem Otton stanął przed główną bramą opasanego solidnym murem Lüneburga. Najwidoczniej trafił na dzień targowy, bo wszędzie kłębiły się tłumy. Gdyby nie okoliczności i niechęć do zwracania na siebie uwagi, krzykami i kopniakami

przebiłby się jakoś przez tę cizbę, ale teraz nie pozostawało mu nic innego, jak posuwać się powoli w rzece ludzi, koni, bydła i wozów. Trwało to nieznośnie długo, bo strażnicy starannie kalkulowali wartość wwożonego towaru i od razu naliczali cło. Smród dochodzący z fosy opływającej mury stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

W końcu Otton znalazł się za bramą, gdzie otoczyła go banda dzieciaków, bosych, czarnych od brudu niczym smolarze. Każdy chciał mu służyć: coś sprzedać, zaprowadzić go do noclegowni albo gospody. Opędziwszy się od nich, podążył wybrukowaną ulicą wiodącą od bramy na główny plac. Dumnie prowadził wierzchowca, a jego gęste, jasne pukle rozrzucone na ramionach przyciągały niewieście spojrzenia.

Ale nie od razu skierował się na rynek. Za kościołem św. Michała skręcił w prawo w przecznicę równie szeroką jak główny trakt, by odpocząć w gospodzie, w której zatrzymał się poprzednim razem. Dobrze zapamiętał drogę. Kilkanaście kroków dalej nad półkolistym łukiem bramy dostrzegł znajomy szyld: podwieszoną prostopadłe do ściany deskę z niezdarnie namalowanymi łóżem i balią.

Mieli wolną izbę. Otton zamówił kąpiel, by zmyć z siebie smród z podróży, i cyrulika. Kilka godzin później czysty, gładko ogolony, najedzony i ubrany w modne obcisłe spodnie i kubrak z suto marszczonymi rękawami ruszył w dalszą drogę.

Wszystkie kamienice otaczające główny plac były wąskie i miały co najmniej trzy kondygnacje. To zrozumiałe: każdy bogaty mieszczanin chciał mieć wyjście wprost na rynek. To sprawa prestiżu, tak jak dla rycerza posiadanie zamku. Otton z łatwością odszukał wzrokiem dom Pleskowa. Usytuowany we wschodniej pierzei, tuż przy ratuszu, miał nawet numer wybity w białym marmurze nad frontowym wejściem: czterdzieści cztery. Otton długo się w niego wpatrywał. Dobry omen pokrępił go na duchu.

Nieruchomość należała wcześniej do żydowskiego kupca. Nikt nie rozumiał uporu, z jakim Pleskow dążył do jej przejęcia. Urządził prawdziwy pokaz siły dla miejscowych bogaczy, handlarzy solą, bo głównie tym towarem tu się obracało. Pleskow udowodnił im, że jest zręcznym graczem. W zaledwie rok, wykorzystując przewagę finansową, a także rozległe kontakty kupieckie i polityczne, doprowadził Żyda do całkowitej ruiny. Dopiero gdy ten przed nim klęczał i w poniżeniu bił pokłony, Pleskow okazał współczucie, kupując kamienicę za jedną trzecią wartości. A mógł przejąć ją za darmo. Żyd opuścił Lüneburg zrujnowany i upokorzony litościwie rzuconym mu ochłapem.

Otton Szafraniec stanął przed potężnymi dębowymi drzwiami zabezpieczonymi ozdobną żelazną kratą. Pomyślał, że Pleskowowi najwyraźniej przybyło wrogów, bo zaczął dbać o bezpieczeństwo.

Zakołatał do drzwi.

Otworzyła mu niewiasta w kwiecie wieku, niska, przysadzista, z czarnymi loczkami nad czołem. Otton widział ją po raz pierwszy. Wydała mu się nazbyt sztywnie odziana jak na służącą. Nie była żoną, bo Pleskow nie miał żony i nie ożenił się od ostatniej wizyty, to ponad wszelką wątpliwość. Nie była też jego kochanką ani siostrą.

Kobieta zaprosiła przybysza do środka. Powiodła go przez sieni i schodami w górę na pierwsze piętro, a potem wprowadziła do głównej komnaty. Wnętrze było urządzone niezwykle skromnie. Wzdłuż ścian stały ławy przykryte kobiercami, a pod każdą z nich znajdowała się skrzynia. Jak twierdził Pleskow, trzymał tam najcenniejsze rzeczy zabrane w pośpiechu z domu w Lu-bece. Doraźność wystroju była wręcz ostentacyjna. W tej samej izbie Pleskow przyjmował książąt Rzeszy, pokazując w ten sposób, że na wygnaniu w Lüneburgu zamierza pozostać krótko.

Nie rozpakowuje skrzyń, bo przecież zaraz będą ładowane na wozy i pojadą z powrotem do Lubeki.

Pod oknem stał masywny stół z lśniącym dębowym blatem i nogami w formie bogato rzeźbionych bocznych ścian. Na pytanie o ten detal Pleskow także miał gotowe wyjaśnienie: oto mebel do rozmów albo posiłku przeznaczony tylko dla dwóch osób szczerze patrzących sobie w oczy. Każdy, kto zechciałby dosiąść się z boku, skazałby się na niewygodę.

W ścianach pokoju znajdowały się otwarte, wykończone ostrym łukiem wnęki z półkami, na których stały książki. Dziesiątki, setki książek. Jak w klasztornej bibliotece. Ani jednego talerza, kubeczka, żadnego ozdobnego szkła. Tylko książki.

Rozwarły się drzwi i do pokoju wszedł Jordan Pleskow.

Otton z ulgą skonstatował swobodny i zarazem szykowny strój gospodarza. Drogi ciemnoszary aksamitny kubrak nie był zapewne jego domowym strojem, miał raczej wyrażać szacunek dla gościa. To dobry znak.

Pleskow, który lubił Ottona, przywitał go serdecznie. Ucieszył się, gdy otrzymał list zapowiadający nagłą wizytę. Intuicja podpowiadała mu, że kryje się za nią coś wyjątkowego.

Ta sama niewiasta, która wcześniej otworzyła Ottonowi drzwi, pojawiła się ponownie i postawiła na stole karafkę z winem i dwie szklance z ozdobnego szkła.

– Wypijmy za twoją szczęśliwą podróż! – Gospodarz wzniósł toast. – Jechałeś sam? To nie lada odwaga w tych czasach.

Pleskow wypytywał gościa o podróż i zdrowie, dając mu do zrozumienia, że go szanuje i traktuje jak równego sobie. Otton zaś przyjmował jego uwagę jako coś oczywistego, co mu się słuszenie należy. Wprawdzie majątkiem nie mógł się równać z Pleskowem, był też od niego dużo młodszy, ale przecież ród Szafranców, do którego się zaliczał, zdecydowanie przewyższał znaczeniem patrycjuszowską rodzinę Pleskowów.

Po wymianie obowiązkowych komplementów i uprzejmości zapadła chwila ciszy. Szybko przerwał ją gospodarz:

– *Ad rem*, przyjacielu! Mów, co cię sprowadza. W liście byłeś bardzo tajemniczy.

Otton od razu przeszedł do sedna, zwracając się do gospodarza w poufałym tonie:

– Dostojny panie, chciałbym cię namówić do udziału w pewnym... przedsięwzięciu. Wiele znoju i duże ryzyko, ale zyski trudne do wyobrażenia. Nie sposób tego porównać z czymkolwiek, co razem przeszliśmy.

Od samego początku ich znajomości traktowali się jak przyjaciele, współpracownicy, nawet w czasach, gdy Pleskow odgrywał ważną rolę w Hanzie, a Otton dopiero wchodził w dorosłe życie.

– Jakież to zyski mnie czekają?

– Władza, sława i pieniądze, dużo pieniędzy.

– A ciebie?

– To samo. Oprócz sławy.

Pleskow ujął karafkę i napełnił obie szklanice do połowy.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– To dotyczy mojego kraju. A właściwie... króla. Ten poga-
nin, Litwin, prowadzi nas na zatracenie...

Pleskow westchnął. Otton na to nie zważał.

– Mierzi mnie myśl – mówił dalej – że dynastia... uwarzona z jego pogańskiej krwi rozsiądzie się na polskim tronie na wieki. A jeśli nic nie zrobimy, tak właśnie się stanie.

– Powiedziałeś: „nic nie zrobimy”? – Kupiec ze zdziwieniem cofnął głowę. – A co my możemy zrobić?

– Zamierzam się go pozbyć!

– Jagielły? I do mnie z tym przychodzisz? – Pleskow nie krył zdumienia i rozczarowania. – Wielu już próbowało. Czemu nie zwrócisz się do Krzyżaków? – Przesunął szklanicę z winem po gładkim blacie w stronę Ottona. – Zdziwiasz mnie. Przecież twoi stryjowie dostępują wielkiego zaszczytu, słyszałem, że

należą do najbliższego otoczenia Jagiełły. A i ty zapewne wkrótce zasiądziesz przy królewskim stole...

Otton potrząsnął głową.

– Sprawa jest o wiele bardziej złożona...

Pleskow się skrzywił.

– Drogi Ottonie, widzisz... gdy przychodzą do mnie kupcy i proponują jakiś interes czy, jak to nazwałeś, przedsięwzięcie, proszę, by je opisali. Liczą się pierwsze trzy zdania. Jeśli mnie nie zaintrygują, każę im się wynosić. *Raus hier!* A ty zacząłeś fatalnie... Byłbyś już za drzwiami, gdyby nie szczególny afekt, jakim cię darzę. – Pleskow klasnął w dłonie i zmienił temat. – Zjesz ze mną wieczerzę.

Do komnaty znów weszła ta sama niewiasta.

– Berto, możesz podawać jadło. I przynieś nam więcej wina!

Kobieta otwarcie przyglądała się Ottonowi, a potem obdarzyła go uśmiechem. Zwykła służąca na coś takiego by sobie nie pozwoliła. Otton również się uśmiechnął. Berta nie była atrakcyjna, ale jej śmiałe zachowanie i błysk w oku przypadły mu do gustu.

Chwilę później na stole pojawiła się gorąca stawa. Zapachniało imbirem i kminkiem.

– Mamy dziś potrawkę z kurczęcia, prawdziwe drobiowe *comminée*. Świeży kurczak, mleko migdałowe, kminek, sproszkowany imbir, białe wino, bulion drobiowy, odrobina octu... Berto, co jeszcze? A! Oliwa, sól i mielony pieprz. To na twoją cześć, Ottonie.

Wziął kęs do ust.

– Wyborne! – Jordan wachlował się dłonią, żeby ostudzić gorące mięso w ustach. Po chwili dodał przepraszająco: – Na ogół zachowuję maniery przy stole. Wybacz, ale tak podanego kurczaka po prostu uwielbiam. – Upił kilka łyków wina. – Berto! W sosie zostawiłaś ziarna kminku! Co sobie gość o nas pomyśli!

Uniósł szklanicę w kierunku Ottona.

– Po wygnaniu z Lubeki jakiś czas mieszkałem na wsi. Wtedy prawie nie jadłem mięsa. Tam żywe zwierzę cenniejsze niż

martwe. Po co jeść kury, skoro można mieć od nich setki jaj. Ale tu, w mieście? Jem, ile mogę.

Otton milczał. Wpatrywał się w Pleskowa z tak zamyślonym wyrazem twarzy, że ten w końcu westchnął i powiedział:

– No dobrze, opowiedz o tym swoim... przedsięwzięciu. Nie znoszę milczącego kompana przy jedzeniu. Tak więc... zamierzasz pozbyć się króla. Jak chcesz tego dokonać? Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

Otton tylko na to czekał.

Mówił przez godzinę. Dopiero gdy skończył, wziął się do udka kurczęcia. Całkiem ostygło, a sos kminkowo-migdałowy był niesmaczny.

2

Jesień roku Pańskiego 1413

Gdy następnego dnia Jordan Pleskow otworzył oczy, przez szpary w okiennicach sączyło się już poranne światło. Dochodziła ósma, czuł to w kościach. Późno, zazwyczaj budził się wcześniej. Wszystko przez wczorajsze pijaństwo. Wysunął się spod kołdry, a potem przekręciwszy się na łóżku, oparł nogi na poduszce. Jego łóżko było do połowy obudowane baldachimem, więc tylko w takim ułożeniu mógł widzieć belkowany sufit. Dwanaście doskonale równych, gładko ociosanych belek. Wodząc po nich wzrokiem, roztrząsał dylematy, z którymi kładł się spać poprzedniego wieczoru. Pierwsze minuty po przebudzeniu były zawsze najważniejsze. Przynosiły mu doskonałą jasność myśli. Kwadrans, nie dłużej. Wierzył w podjęte wówczas decyzje.

Postanowił zatem w ciszy i spokoju przemyśleć to, co wczoraj wieczorem usłyszał od Ottona z Szafranców. Ruszał się ostroż-

nie, by nie szeleścić pościelą. Nie chciał, by czujna jak pies Berta usłyszała, że już nie śpi. Pewno jak zwykle czyhała pod drzwiami sypialni, by jak najszybciej odprawić poranny obrządek i zając się swoimi sprawami.

Kiedy Otton późnym wieczorem opuszczał dom przy Platz Am Sande 44, Jordan Pleskow skłaniał się do odrzucenia propozycji młodego szlachcica jako niedorzecznej. Ale teraz, gdy kupiec wytrzeźwiał, jego myśli powoli łapały ożywczy wiatr i niosły go coraz szybciej w przeciwną stronę. Otton przestał mu się jawić jako szaleniec. Już wczoraj Jordan przyznał w duchu, że ze słów młodzieńca biją śmiałość, przebiegłość, zapał i pewność siebie, jakich jeszcze u niego nie widział. I dużo logiki w przewidywaniu zdarzeń.

Pleskow kilka razy odtworzył w głowie wieczorną rozmowę. Poczuł, jak wzbierają w nim wewnętrzna siła i chęć do działania. Spojrzał w stronę okien. Przez pionowe szpary coraz natarczywiej wdzierały się płaskie smugi porannego światła. Ciepły słoneczny poranek w Lüneburgu. W listopadzie? Czyżby dobry znak?

Kwadrans już dawno minął. Pleskow chwycił dzwonek stojący na nocnym stoliku i mocno nim potrząsnął.

Drzwi natychmiast się rozwarły. Weszła Berta, pobieżnie zaczesana, w prostej wełnianej tunice narzuconej na płócienną koszulę, w której spała. Gdyby Otton ją teraz zobaczył, wziąłby ją za panią domu. Jej twarz zdradzała zniecierpliwienie. Oboje wcześniej wstawali i trzymali się rutyny. Dziesięjsze opóźnienie musiało ją zirytować.

Berta miała zawsze mnóstwo spraw do załatwienia. Najczęściej wiązały się z prowadzeniem domu, wizytą u kochanka, którego odwiedzała o poranku, interesami albo spotkaniem z kumami. Albo wszystkim naraz.

Teraz położyła ubranie Pleskova na siedzisku i rozwarła okiennice. Do pokoju wtargnęło chłodne poranne powietrze, niosąc niezbyt jeszcze intensywne zapachy miasta.

– Co podać na śniadanie? – spytała, stając w blasku słońca.

– Coś specjalnego!

Berta spojrzała na Pleskowa zaintrygowana.

– Jajka sadzone? – zaproponowała.

– Wspaniale! W sosie winnym, oczywiście.

– Jakieś dodatkowe życzenia?

Pleskow rażno wyskoczył z łóżka. Z pręta służącego za wie-
szak zdjął płaszcz z miękkiej wełny i zarzucił go na ramiona.

– Tak, przygotuj przybory do pisania. Przy śniadaniu napi-
szemy list.

Pleskow usiadł w kuchni przy stole nakrytym białym obrusem.
Berta domysliła się, że przy śniadaniu nastąpi coś ważnego, więc
zadbała o jego uroczystą oprawę. Stała nad piecem, tyłem do go-
spodarza. Podsmażyla na patelni pokrojoną w kosteczkę cebulę.
Powinna się zeszklić i lekko podrumienić. Dodała szklankę wi-
na, łyżkę octu, soku winogronowego, sól i pieprz.

Pleskow przyglądał się tym czynnościom z napięciem.

Sos musi się teraz chwilę pogotować do zgęstnienia. Berta
sięgnęła po drugą patelnię. Nalała oliwy. Gdy ta się odpowiednio
rozgrzała, zaczęła wbijać jajka.

– Dla mnie trzy! – Usłyszała zza pleców.

Berta wbiła kolejno pięć jajek. Pleskow wstał.

– Nie możesz wytrzymać? – Odwróciła się do niego zła.

– Nie mogę – odparł Pleskow. – Białka mają się tylko ścigać,
nie powinny się zrumienić, a ty je zawsze zrumieniasz! Teraz!

Berta syknęła wściekła, ale posłusznie zestawiała patelnię z ognia.
Drewnianą łopatką nałożyła jajka na talerze i polala je sosem.

Jedli jakiś czas w milczeniu. Berta odezwała się pierwsza:

– Coś mi powiesz?

– W wielkiej tajemnicy! – Jordan otarł usta serwetą. – Obie-
caj, że jej dochowasz.

– Oczywiście. Jak zawsze!

Wstała, by przygotować grzane piwo, a Pleskow streścił wczorajszą rozmowę z Ottonem.

– I co o tym sądzisz? – zapytał na koniec.

– Intrygujące...

Mężczyzna uśmiechnął się zadowolony.

– Przejechał sam pół świata, by się pochwalić, że ma szklaną kulę? – zakpiła Berta.

– Otton liczy na moją pomoc.

– I? – Kobieta uniosła brwi.

Pleskow wytarł chlebem resztkę sosu z talerza.

– Dlaczego nie?

– Nudzi się panu, panie Pleskow.

– To nie będzie zabawa – odpowiedział kupiec z pełnymi ustami. – Przelejemy dużo krwi.

– Naprawdę pan tego chce?

– Przyznaję, że to wyzwanie mnie pociąga. Mogę wiele zyskać. A przegrać tylko... trochę pieniędzy. I tak mam ich za dużo.

– Co zatem z zaproszeniem na chrzest od naszego przyjaciela Fryderyka Hohenzollerna? – spytała Berta. – Miałam znaleźć pretekst, żeby mu odmówić...

– W tej sytuacji oczywiście pojedę – odparł Pleskow. – Kiedy to będzie?

– Piętnastego listopada.

– Znakomicie! Napiszemy odpowiedź. Od razu, teraz. Przytnieś papier i pióro? Podziękuję za zaproszenie i zapowiem swoje przybycie. Muszę tylko grzecznie przeprosić burgrabiego, że tak późno odpisuję. Minęło już kilka tygodni.

– Pańska wizyta wywoła poruszenie...

Pleskow założył ręce za głowę.

– Zmienimy bieg dziejów, Berto. Polacy i ten ich pogański król napawają mnie obrzydzeniem. Zawsze pragnąłem, żeby ktoś w końcu najechał tę łajdacką krainę i zrównał ją z ziemią... Nie sądziłem, że mogę to być ja. Że los da mi taką szansę.

– Pomyśleć, że gdyby burgrabiemu urodziła się dziewczynka...
– Ale urodził się chłopiec. Los zadecydował. A miał wybór.
– Pół na pół.
– Tak jest, pół na pół. – Pleskow sięgnął po szklanicę z grzonym piwem. – Wbiłaś złotko?

– Wbiłam.

– Pomieszałaś?

Berta nie odpowiedziała.

– Muszę cię pilnować, bo jesteś strasznie niedbała w takich drobiazgach.

Pleskow upił kilka łyków, mlasnął z zadowoleniem i odstawił szklanę.

– Zastanawia mnie, skąd Otton wiedział, że dostałem zaproszenie od Hohenzollerna...

– A wiedział?

– Wiedział nawet, że jeszcze nie odpowiedziałem!

Pleskow sięgnął po przybory do pisania. Szybko skreślił list. Krótki, uprzejmy, miejscami serdeczny. Zwłokę wytłumaczył stanem zdrowia, które w cudowny sposób się poprawiło. Podał list Bercie.

– Przeczytaj. Potem zalakuj i ślij gońca! Prosto do Tangermünde.

3

Jesień roku Pańskiego 1413

Pleskow wrócił do sypialni. Przełożył przygotowane przez Bertę odzienie z siedziska na łóżko i zaczął się powoli ubierać. Zawsze robił to samodzielnie, nawet w czasach lubeckich, gdy miał liczną służbę. Nie pozwalał, by go dotykano. Dzieciństwo przy-

zwyczało go do samotności. Rodzeństwo zmarło, nim zdążył je zapamiętać, a ojca i matkę widywał rzadko. Zajmowała się nim służąca o chytrym spojrzeniu i szorstkich dłoniach, których dotykanie wzbudzał w nim wstręt.

Miał w młodości kilka kochanek, ale nie mógł znieść ich obecności poza sypialnią. Rano, w południe, po południu, wieczorem, w nocy. Ciągłe przy uchu ten sam grajek, te same dźwięki. Można było oszaleć od ich terkotania. Żadna kobieta nie uwiodła go na tyle, by zgodził się oddać w taką niewolę.

Przy tym wszystkim bardzo cenił sobie towarzystwo kobiet. W Hanzie, kiedy jeszcze nią kierował, powierzał im wiele ważnych, choć nieoficjalnych funkcji. Docenione, szanowane, dobrze wynagradzane, odwzajemniały się absolutną lojalnością – rzecz bezcenna i rzadko spotykana u mężczyzn, zwłaszcza w wysokich kręgach kupieckich. Patrzenie na świat kobiecym okiem dawało Pleskowowi, tak przynajmniej uważał, odmienną perspektywę i przewagę nad konkurentami.

Pleskow poznał Bertę jako czterdziestoletnią bezdzietną małżonkę wpływowego jurysty z Lubeki. Często korzystał z usług jego kancelarii, więc gdy kiedyś zwierzył mu się, że szuka bystrej i biegłej w rachunkach niewiasty do pomocy w prowadzeniu ksiąg, ten bez wahania wskazał na swoją żonę. Znana była obojętność szefa Hanzy na uroki płci pięknej, więc jurysta nie musiał żywić obaw.

Berta była niska, korpulentna, ale na swój sposób powabna, może nawet zmysłowa, a błysk w oku zdradzał, że jurysta nie musi być jej ostatnim mężem. Całe życie zajmowała się handlem, więc szybko znalazła wspólny język z nowym mocodawcą. Fachowo i skrupulatnie prowadziła księgi rachunkowe. Prawdziwy zapal wzbudzały w niej jednak nietypowe zadania, jakie wyznaczał jej Pleskow. Najczęściej chodziło o zbieranie poufnych informacji o potencjalnym kontrahencie, konkurencie czy politycznym wrogu. Liczył się każdy szczegół dotyczący stanu zdrowia dzieci, nastrojów żony czy ulubionych dań i napitków.

Berta dysponowała imponującymi możliwościami gromadzenia takiej wiedzy. Siecią swych kontaktów łowiła wszystkie ważniejsze lokalne plotki. Jednocześnie potrafiła trzymać język za zębami, gdy wymagały tego okoliczności.

Wszystko dobrze się układało aż do września 1408 roku. Wtedy właśnie mąż Berty oddał ducha, a niedługo potem poważne kłopoty spadły na Jordana Pleskowa.

Hanza to największa organizacja kupiecka świata. Ze spisów uczestników zjazdów hanzeatyckich prowadzonych przez Pleskowa wynikało, że prym wiodło około siedemdziesięciu dużych miast. Sto dziesięć mniejszych korzystało z siły i przywilejów, jakie dawała przynależność do związku, ale nie uczestniczyło w wielkim europejskim handlu. Na czele wspólnoty od zawsze stała Lubeka, której burmistrz był *de facto* przewodniczącym całego związku.

Tymczasem miasto to już od kilkunastu lat przeżywało polityczny kryzys. Do tego doszło załamanie finansów spowodowane olbrzymimi kosztami wojny z Braćmi Witalijskimi i budowy kanału między Łabą a rzeką Trave. W 1403 roku rada miasta pod naciskiem mieszczan ujawniła fatalny stan skarbcza, a jednocześnie wystąpiła do pospólstwa o zgodę na nowe podatki. Wywołało to gwałtowne protesty i zamieszki. Pięć lat później mieszkańcy zmusili radę do ustąpienia. Większość rajców wygnano z miasta. W gronie tym znalazł się Jordan Pleskow. Zwycięzcy przystąpili do wyboru nowej rady.

Gdy Pleskow szykował się do opuszczenia Lubeki i przeprowadzki do Lüneburga, Berta zaproponowała, że przejmie rolę jego służącej, kucharki, majordoma i kogo tylko będzie potrzebował. Nie oczekiwała wynagrodzenia, a jedynie możliwości prowadzenia interesów u jego boku. Jako wdowa musiała utrzymać się sama. Uznała, że przy byłym burmistrzu, nawet na wygnaniu (wierzyła, że nie potrwa ono długo), będzie jej łatwiej, niż gdyby pozostała w Lubece. Wiedziała, że Pleskow ją ceni i na swój sposób lubi, a nade wszystko liczy się z jej zda-

niem. Przy odrobinie starania taka niecodzienna relacja mogła jej wyjść tylko na dobre.

Pleskow banita chętnie na to przystał. Uznał, że kobieta będzie cennym źródłem informacji. Miała szerokie koneksje w Lubecie, utrzymywała znajomości w kręgach kupieckich i prawniczych i nie było powodów, by miała je zrywać.

Osiadłszy w Lüneburgu, Jordan Pleskow nie zamierzał składać broni. Zwrócił się do sądu królewskiego i zwyciężył. Zgodnie z werdyktem Lubeka miała przywrócić byłym rajcom ich prawa. Nowa rada popełniła polityczny błąd, na który zresztą Pleskow liczył – zamiast zaakceptować orzeczenie i pogodzić się z porażką, odpowiedziała zaostrzeniem kursu, a mianowicie konfiskatą majątku wygnańców i odmową podporządkowania się innym królewskim zaleceniom. W odwecie król Ruprecht pozbawił Lubekę jej przywilejów.

Ponieważ w tej sytuacji Lubeka nie mogła pełnić swej tradycyjnej funkcji, głównym portem Hanzy stał się tymczasowo Lüneburg.

Pleskow nie ustawał w atakach wymierzonych w radę Lubeki. Głośnym echem odbiła się jego wyprawa do krzyżackich Prus, gdzie nakłonił wielkiego mistrza, z którym utrzymywał zażyłe kontakty, do wyparcia lubeckiego handlu z podległych mu prowincji. Chociaż nowi rajcy się nie poddawali, to wszyscy obserwatorzy tych politycznych zmagañ widzieli wyraźnie, że rekonkwista Jordana Pleskowa nabiera rozmachu, a były burmistrz zwycięża w każdej bitwie, do której staje.

I znów o względy Pleskowa poczęli zabiegać kupcy, bogaci patrycjusze, a także władcy i książęta, cierpiący na chroniczny brak gotówki. Jednym z namacalnych dowodów na powrót Pleskowa do łask było zaproszenie od burgrabiego Fryderyka Hohenzollerna na chrzest syna.

Pleskow kończył się ubierać, gdy rozległo się pukanie. Nim zdążył odpowiedzieć, do sypialni wkroczyła Berta.

- Goniec wyruszył w drogę.
- Dziękuję, Berto. Masz dziś wolne.

Kobieta zrzuciła już domowe odzienie i przywdziała zwiewną suknię przepasaną purpurowym pasem; jej szyję zdobiły lśniące łańcuszki i korale. Wyglądała powabnie. Widać było, że nie wybiera się na targ.

- Jak ma na imię twój pocieszyciel? – spytał Pleskow.
- Tylko służenie tobie niesie mi pociechę.
- Nie wątpię. Pytam, z kim obecnie wchodzisz pod kołdrę.
- Z Gunterem.

Pleskow zmarszczył brwi.

– To syn Jurgena Brema, tego piwowara – szybko wyjaśniła Berta.

– A, ten Gunter. – W głosie Pleskova zabrzmiało rozczarowanie. – Ileż on ma lat?

- Skończył już dwadzieścia.
- No to ciesz się jego młodością.
- Taki mam zamiar. Mogę już iść?

– Tak. Ale postaraj się o lepszą partię. Od niego niewiele się dowiemy.

– Gunter niedługo się żeni, więc pewno będę musiała. – Zręcznie niczym tancerka określiła się na pięcie. – Jak wyglądam?

- Młodziej od Guntera.
- Dziękuję.

Berta wyszła, a myśli Pleskova poszybowały za gońcem. Miał do pokonania sporo mil. Wieść dotrze do zamku Hohenzollernów w Tangermünde za kilka dni. Fryderyk Hohenzollern został ojcem po raz szósty. Wielkie święto, powód do dumy i znak Bożych łask. Ale i tak spocą mu się dłonie, gdy otrzyma list. Od byłego burmistrza Lubeki mógł się spodziewać tylko dobrych wiadomości. Jordan Pleskow i tym razem go nie zawiedzie. Złoży burgrabiemu propozycję, która, jeśli ten ją przyjmie, odmieni los Hohenzollernów po wsze czasy.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



BEZWZGLĘDNA GRA O POLSKĄ KORONĘ

Niespokojny XV wiek to czasy soboru w Konstancji, husyckiej rewolucji i zmagañ z zakonem krzyżackim. Król Władysław Jagiełło wciąż nie doczekał się męskiego potomka. Jesienią 1413 roku spiskowcy postanawiają osadzić na polskim tronie potomka rodu Hohenzollernów. Tymczasem w różnych częściach Korony dochodzi do okrutnych zabójstw, które łączy jeden element: pozostawione przy ciałach ofiar listy. Tropcy wiodą do mrocznego zdarzenia sprzed dwóch dekad. Okazuje się, że wyjawienie prawdy z przeszłości może skompromitować jedną z najważniejszych osób w państwie. W grę o polski tron zostają wplątani arystokratka Konstancja z Szafranców oraz Zawisza Czarny.

Autor zadbał o to, aby nie zabrakło dyplomatycznych intryg, krwawych pojedynków i pilnie strzeżonych tajemnic z przeszłości. Wielbicieli powieści historycznych będą zachwyceni!

Krzysztof Górecki, reżyser
INSCENIZACJI BITWY POD GRUNWALDEM

Patronat medialny



bukowylas.pl

Polub nas na
Facebooku



Cena 44,90 zł
(w tym VAT)